

Bogusław Magrel

Wyprawa na Kamchatkę była moim marzeniem od czterech lat. Dlaczego? Ponieważ jest to oaza pierwotnej natury, prawie w ogóle nie zmieniona ręką człowieka. Jest to raj pełen dzikiej zwierzyny, gdzie wodę pije się bezpośrednio z rzeki, a drogę wyznaczają gwiazdy, bo szlaków tam nie ma.

Przez Moskwę lecimy do Pietropawłowska Kamczackiego, gdzie lądujemy z 5-godzinnym opóźnieniem. Od razu mamy piękny widok na Awaczyńską (2741 m) i Korjacką Sopkę (3456 m), bo właśnie u stóp tych wulkanów leży miejscowe lotnisko. Pogoda nas nie rozpieszcza, jest zimno, dlatego z przyjemnością udajemy się do hotelu, by odpocząć i wziąć upragniony prysznic. Mimo tylu godzin podróży na Kamchatce ciągle jest dzień, bo to 11 godzin różnicy do czasu polskiego, więc znajdujemy jeszcze czas, by rozejrzeć się po samym mieście. Centrum robi nieco przygnębiające wrażenie, blokowiska w wielkiej płyty, odrapane tynki, zardzewiałe metalowe konstrukcje, odpadająca farba. Szybko dochodzę do wniosku, że Pietropawłowsk jest typowym rosyjskim miastem, smutek agonii ZSRR widoczny jest w każdym jego zaułku. Jest też oczywiście pomnik Lenina, na wysokim bazaltowym cokole, z którego wódz rewolucji wskazuje dłonią na Awaczyńską Zatokę, a tuż obok wisi wielki transparent: „Plan Putina będzie realizowany!”. Patrząc na ten napis i zastanawiam się co to oznacza? Co to oznacza dla świata, dla Rosji i dla ludzi żyjących tu, tysiące kilometrów od Moskwy. Czy ten Putin w ogóle choć raz tu był?

Dzięki opatrności jakieś sto metrów dalej stoi drugi pomnik, świętego Piotra i Pawła, od których imion miasto wzięło nazwę. Przy nim wszyscy turyści chętnie się fotografują.

Siedzimy w mieście dwa dni, załatwiając przepustki w miejscowym KGB i przedstawiając się na miejscowy czas. Następnie ruszamy w długą drogę do Kozyriewsk. 600 km szutrowymi drogami pokonujemy w dziesięć godzin, co jest przyzwoitym wynikiem. Podczas drogi zapoznajemy się z komarami, których na Kamchatce są niewyobrażalne ilości. Od tej chwili będą nam towarzyszyły przez cały pobyt. Zwalczyć ich nie sposób, więc trzeba się odpowiednio zabezpieczyć, kapelusz z moskitierą na twarz i po 4 offy na głowę, inaczej pobyt w tajdze może zamienić się w prawdziwe piekło. Kozyriewsk to spora wieś leżąca nad rzeką Kamczatka. Domy z drewna, wiele z nich opustoszałych, sporo ludzi ucieka stąd do wielkich miast za pracą i lepszym życiem. Młodych ludzi przeraża to odludzie, przypominają mi się słowa Wieniedikta Jerofiejewa: „*wiem, wiem, wszystkie twoje członki i twoja dusza są zmiażdżone, na peronie mokro i pusto i nikt na ciebie nie czekał i nigdy czekać nie będzie. A jednak wstań i idź. Spróbuj*”. Jednak nam się tu podoba, cisza, spokój i Tolbaczyńska Sopka (3672 m) na horyzoncie. Nocujemy u gospodarza, który udostępnia nam banię, ech co za kąpiel! Kupujemy prowiant na sześć dni, pakujemy

plecaki. Rano umówionym autem terenowym jedziemy przez tajgę do Kopyta, miejsca z którego rozpoczyna się marsz pod Kluczewską Sople (4750 m) – najwyższy kamczacki wulkan. Kopyto leży zaledwie na 1000 m, ale tu już drzewa nie rosną, tylko wysokie trawy i mchy.

Wypsikani offami do granic możliwości zaczynamy wolno zdobywać wysokość. Godzina marszu, pięć, dziesięć, maszerujemy cały dzień, a przed nami otwierają się kolejne przestrzenie. Dolina wulkanów w pełnej klasie i nasze marzenia unoszone wiatrem. Nasz cel się przybliża, ale ciężkie wory dają nam w kość. Przez rozległe równiny, gęsto pocięte strumieniami, docieramy na miejsce pierwszego biwaku, na wysokości 2000 m. W pobliżu płynie strumyk z łachy śniegu, więc można wygodnie przygotować posiłek i najeść się do syta. Jak okazało się później nie każdy nasz popas miał tak wyglądać.

Kolejnego dnia docieramy do moren bocznych lodowca Bogdanowicza i nimi podchodzimy na wysokość 2600 metrów. Droga miejscami jest bardzo uciążliwa, ponieważ piachy się obsuwają pod naszym ciężarem, czasem robi się dwa kroki w górę i jeden krok w dół. Czasem dostrzegamy ślady zespołu Darka Stolarczyka sprzed 2 tygodni. Osiągamy górną część lodowca i obchodzimy najbardziej skrzęsana jego część. Lawirujemy między wielkimi serakami, szczelinami i lodowcowymi rzekami, po 12 godzinach marszu zakładamy obóz drugi. Z jednej strony mamy piękny widok na Kluczewską i Kamień (4579 m n.p.m.) a z drugiej na masyw Płaskiego Dalekiego (3903 m n.p.m.) i Bliskiego (4057 m n.p.m.).

Różnica jest spora, o ile na tej pierwszej górze nie ma prawie w ogóle śniegu, to pozostałe są pod grubą czapą śniegu i lodu. Różnica wynika z tego, że Kluczewska jest nie tylko najwyższa, ale jest też najbardziej aktywnym wulkanem, dlatego wysoka temperatura w jej wnętrzu nie pozwala na odkładanie się śniegu. Ktoś obliczył nawet, że ilość kamieni jaką Kluczewska wypluwa w powietrze, to 5 % całego światowego urobku liczonego na pozostałe 850 aktywnych wulkanów.

Trzeciego dnia marszu dochodzimy na przełęcz między Kamieniem a Kluczewską, tu zakładamy obóz trzeci, stąd też chcemy wyjść na atak szczytowy. Kamień z przełęczą robi duże wrażenie, swoim kształtem przypomina nieco szwajcarski Matterhorn. Strome granie, zwieńczone charakterystyczną trójkątną kopułą szczytową, niczym z opakowania czekoladek Tomberlone.

Wreszcie nadchodzi przełomowy dzień czwarty. Atak rozpoczynamy o 8.00 rano, nie śpieszymy się zbyt, bo dzień na Kamczatce trwa bardzo długo, do 22.00, więc nie ma obaw, że nie zdążymy. Trasa wiedzie stromymi zboczami, pokrytymi wulkanicznym urobkiem. Wszystko leci spod stóp, na 3800 metrach, ubieramy raki, żeby lepiej wgryźć się w podłoże. Dochodzimy na 4000 metrów, tu zaczyna się „pole ostrzału”. Kamienie wyrzucane z krateru lecą wysoko w powietrze, po czym spadają

na stoki wulkanu. „Panowie, kula która zabija nie świszcze” – pociesza nas Jasiu. Ale bombardowanie jest bardzo obfite, Albert i Tomek wycofują się. Damian, Rafał i ja idziemy dalej. Jest w tym sporo przypadku, ponieważ Damian zniknął w chmurach i już nie mogliśmy go zawołać i zawrócić, a że nie mógł zostać sam, to i my musieliśmy się przebić przez pole ostrzału.

Od 4300 m znowu spokój, wolno, krok za krokiem, pniemy się do wierzchołka. Wreszcie jest! Potężny, owalny krater, ze stromo opadającymi brzegami, w środku przyklejona chmura gazów i pary, słychać tylko jak wulkan rzezi i prycha, ale do środka zajrzeć nie można. Dostrzegam Damiana, siedzącego na brzegu krateru jakieś 40 metrów dalej. Robimy zdjęcia i czekamy na Rafała, by osłaniać jego wejście. W drodze powrotnej pogoda się załamuje zaczyna padać deszcz, widoczność spada do 2-3 metrów. Teraz doceniamy kopczyki, które postawiliśmy gęsto na całej trasie, dzięki nim bezpiecznie schodzimy do namiotów. Niestety szybko okazuje się, że Jasiu zamiast zawrócić z Albertem i Tomkiem, poszedł za nami a w drodze powrotnej zgubił szlak. Pogoda była już fatalna i nawet kopczyki nie pomogły. Szukamy Jaśka do 23.00, bez skutku. Rano kontynuujemy akcję, przeczesujemy stok. Jasiu noc spędza poza namiotem, rano przy chwilowej poprawie pogody dociera do obozu, czym sprawia nam wszystkim wielką radość, bo braliśmy pod uwagę, że np. mógł zostać trafiony kamieniem... . Jeszcze tego samego dnia schodzimy na lodowiec Bogdanowicza, pod ścianę Płaskiego Dalekiego i tu fatalna pogoda zmusza nas do biwaku. Jesteśmy całkowicie przemoczeni, czekamy do 5 rano, kiedy tylko przestaje padać i chmury się podnoszą, ruszamy pędem w dół. Teraz cieszy nas wszystko, zieleń, kwiatki a nawet komary! Po drodze podziwiamy też świeże, ogromne ślady niedźwiedzi i łośi. Trochę żałowaliśmy, że nie wiedzieliśmy ich na żywo, ale kiedy trzy dni po powrocie do Polski dowiedzieliśmy się, że dwóch rosyjskich geologów zostało rozszarpanych przez głodne niedźwiedzie, to nasz niedosyt natychmiast minął... . Długi marsz przynosi efekty, wieczorem dochodzimy do punktu wyjścia, do Kopyta. Na Kopycie stoi wiata, mogliśmy tam rozpalić ognisko i wysuszyć trochę rzeczy, bo ponownie pogoda dała nam popalić i byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Zjedliśmy też resztki jedzenia, dlatego dwa zdobyczne ziemniaki podzieliliśmy na wszystkich uczestników wyprawy. Smakowały jak nigdy. Był to szósty dzień wyprawy. Przez nieporozumienie z kierowcą nie było dla nas transportu, dlatego siódmy dzień poświęciliśmy na przejście 35 kilometrów do Kozyriewsk. A że byliśmy już bez jedzenia, w mokrych butach, to 8 godzin marszu przez tajgę, w deszczu, nie było łatwym spacerkiem. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, trochę schudliśmy, przeszliśmy ten dziewiczy las, nawet nabierałem grzybów, które tego dnia zjedliśmy z nerką, miejscową odmianą łososia, na kolację. No i znowu wizyta w bani i piwo w nagrodę dla zwycięzców.

Zakończyliśmy akcję górską, ale mając jeszcze kilka dni zapasu postanowiliśmy odwiedzić Esso, urocze miasteczko w centralnej części Kamczatki. Jest to miejsce słynne, nie tylko z powodu gorących źródeł ale

przede wszystkim z powodu jego mieszkańców – Itelmienów, Ewenów i Koriaków, rdzennych ludów Kamczatki. Ich kulturze poświęcona jest wystawa w miejscowym muzeum, można tam się dowiedzieć jak zjeść suszonego muchomora czerwonego, kiedy mężczyzna mógł stać się kobietą z pełnymi tego konsekwencjami albo jak zbudować sanie nie używając gwoździ. Kiedy przewodniczka opowiada o desperackich próbach uniknięcia rosyjskiego podboju przez Itelmienów, którzy woleli zabić wszystkich członków swojej rodziny niż się poddać, cierpie mi skóra. Na koniec zaliczyliśmy jeszcze rafting po rzece Bystrej, rozkoszując się czystością otaczającej nas natury.

No i ruszamy w drogę powrotną, ponownie dziesięć godzin w autobusie. Tym razem pogoda dopisuje, więc możemy podziwiać po drodze Małkiński Chrebet, należący do Gór Środkowych i Ganalskij Chrebet, należący do Gór Wschodnich. Góry te przypominają nasze Tatry Zachodnie, z nieco bardziej skalistymi wierzchołkami.

Zanim jednak przyszedł czas pożegnań wzięliśmy udział w obchodzie dnia rybaka, który jest jednym z ważniejszych miejscowych świąt. Oczywiście Pietropawłowsk to port, a ryba to podstawowy element diety i główny produkt eksportowy. Popłynęliśmy też w rejs po Zatoce Awaczyńskiej, by zobaczyć słynnych Trzech Braci, samotne skały, które według legendy, strzegą miasta.

Reinhold Messner powiedział: „albo przeżyjesz albo nie – na tym polega prawdziwa przygoda”. Jeśli ktoś rozumie sens tych słów i chce doświadczyć czegoś niepowtarzalnego, to Kamczatka jest na to idealnym miejscem. Odludne, dzikie rejony, żadnej możliwości wezwania pomocy, można liczyć tylko na siebie, własne umiejętności i ludzi, których się ze sobą zabrało. Ale jeśli kogoś nie interesuje dzika przyroda, jeśli ktoś nie jest przygotowany na podejmowanie wyzwań, to nie ma sensu wykraczać poza standardowy program zwiedzania Kamczatki, ponieważ można zwyczajnie stracić życie.

Ja jestem Kamczatką zachwycony, przede wszystkim dlatego, że można tam naprawdę eksplorować, dlatego chciałbym tam jeszcze wrócić np. w Góry Wałagińskie, gdzie z pewnością niezdoitych szczytów nie brakuje, a powietrze jest czyste niczym kryształ.

W wyprawie PKA na kamczatke udział wzięli:

- **Agnieszka Wiśniewska – Wozniak** (Warszawa)

- **Barbara Pikulska** (Opole)
- **Joanna Kuczakowska** (Legnica)
- **Albert Binda** (Katowice)
- **Rafał Kruzel** (Legnica)
- **Tomasz Grzegorek** (Warszawa)
- **Jan Pecka** (Kwidzyn)
- **Damian Cyman** (Gdańsk)
- **Bogusław Magrel** (Katowice) – kierownik wyprawy